

Uroki nędzy. Międzywojenni reportażyści w przytułkach

Miejsca społecznej ekskluzji bywają źródłem inspiracji dla dokumentalistów. Rozumieli to już międzywojenni reportażyści, którzy chętnie odwiedzali wszelkiego rodzaju przytułki, noclegownie dla bezdomnych czy osiedla baraków na przedmieściach¹. Ich zainteresowanie miejscami wykluczeń nasiliło się szczególnie w latach 30., gdy narastał społeczny lęk przed bezrobociem i eksmisjami, a publicyści ogłosili „duszną atmosferę [...] która nazywa się kryzysem, będącym pojęciem zbiorowym lęku o przyszłość, rezygnacji i przygotowania na najgorsze”².

Właściwym punktem wyjścia do interpretacji powstałych wówczas reportaży wydaje się rozróżnienie terminologiczne poczynione przez Hannah Arendt, oddzielające nędzę jako „kwestię socjalną” od nędzy rozumianej jako „kwestia polityczna”³. Pierwsza związana jest z pojmowaniem ubóstwa w kategorii zjawiska naturalnego, przypisanego ludzkiej egzystencji, druga natomiast zakłada, że niedostatek jest wynikiem niesprawiedliwości i wyzysku, i dlatego można go opanować przy pomocy metod politycznych, co stało się argumentem dla ruchów rewolucyjnych, które usiłowały budować swój autorytet na przekształcaniu kwestii socjalnej w polityczną.

Opozycja zarysowana przez Arendt jest przydatna, uświadamia bowiem, jak bardzo kwestia socjalna interesowała reporterów piszących o przytułkach,

¹ Wszystkie te miejsca były przeznaczone dla najuboższych, ale różniły się sposobem funkcjonowania. Precyzyjnie wyjaśnia to Mateusz Rodak: „Dom noclegowy tym różnił się np. od przytułku, że pozostawał miejscem przechodnim, które z samego rana należało opuścić, po to, by na noc ewentualnie do niego powrócić. Jedyłą funkcją domu noclegowego było więc zapewnienie schronienia w nocy, czasem wydawano odpłatne posiłki”; *idem, O „Cyrku”, który nie był cyrkiem – rzecz o warszawskim międzywojennym domu noclegowym*, „Praca Socjalna” 2010, nr 4, s. 86.

² M.R. Frenkel, *Bezrobotni obleźli gościńce...*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 12, s. 2.

³ H. Arendt, *O rewolucji*, tłum. M. Godyń, posł. P. Nowak, Warszawa 2003, s. 63–88.

i że nie aspirowali oni do stawiania tez politycznych. Ta tendencja jest charakterystyczna nawet dla relacji publikowanych w prasie lewicowej. Pomijanie w nich krytyki politycznej, opartej na poglądzie o przemocy „klasy panującej”, miało zasadniczy wpływ na konstrukcję, obrazowość i stylistykę reportażystyki przytułkowej. Taka perspektywa wyraźnie różni się od strategii przyjmowanej przez zaangażowanych społecznie pisarzy, którzy te same obrazy wykorzystywali do wyrażania tez politycznych, co pokazują choćby powieści Władysława Rymkiewicza i Artura Pręckiego.

Pomocna demarkacja Arendt wymaga jeszcze uzupełnienia o zaproponowaną przez intelektualistkę w studium *O rewolucji* definicję, zgodnie z którą „nędza jest czymś gorszym niż niedostatek. Jest to stan permanentnego braku i dotkliwej biedy, której haniebność polega na jej dehumanizującej sile. Nędza jest upodleniem, bo poddaje ludzi absolutnemu dyktatowi konieczności”⁴. Sądzę, że właśnie taki sposób rozumienia nędzy i jej dehumanizujących skutków wpisany jest w interesujące mnie teksty.

To założenie nie przekreśla równoległej tezy, że w dwudziestolecie „mamy [...] do czynienia z dwiema wielkimi szkołami reportażu: lewicową i liberalną”⁵. Niemniej relacje z przytułków nie do końca wpisują się w kategorie polityczne, ponieważ po pierwsze – są bardzo konwencjonalne, a po drugie – były pisane przez różnych dziennikarzy, zarówno lewicowych, jak i establishmentowych, a także takich, którzy przed wojną nie deklarowali swoich sympatii politycznych, np.: Wanda Melcer dopiero po II wojnie światowej z przyczyn koniunkturalnych zadeklarowała swoją przynależność polityczną.

Reportażysty odwiedzający noclegownie nie ogłaszali postulatów lewicowych również dlatego, że uznawali oglądaną rzeczywistość za zjawisko separatywne (choć potencjalnie mogące dotknąć każdego) i raczej nie wierzyli w możliwość zmiany, a nawet jeśli ją zakładali, to tylko na gorsze. Pomijali zatem kwestie polityczne, a ich wysiłki ograniczały się do dokumentacji.

W każdym razie na początku lat 30. skrajna bieda, niejednokrotnie prowadząca do desperacji, stała się tematem literackim i dziennikarskim. Wzmoczone zainteresowanie żurnalistów można wiązać z dwoma wydarzeniami: procesem Juliusza Blachowskiego, zabójcy dyrektora zakładów w Żyrardowie, oraz z publikacją *Pamiętników bezrobotnych*, które ujawniły głos niemej dotąd grupy społecznej. Opublikowana została część spośród 774 prac przesłanych

⁴ *Ibidem*, s. 70.

⁵ E. Kraskowska, *Piórem niewieściem. Z problemów prozy kobiecej dwudziestolecia międzywojennego*, Poznań 1999, s. 166.

na konkurs Instytutu Gospodarstwa Społecznego, a zarysowana w nich perspektywa dramatycznego ubożenia zwróciła uwagę dziennikarzy, dla których *Pamiętniki bezrobotnych* stały się źródłem wiedzy. Czerpali z nich różne informacje o sytuacji socjalnej, choćby tę, że miejska biedota czeka na opady śniegu, bo dorywcze odśnieżanie daje szansę na jakiś zarobek. W przedmowie do książki Ludwik Krzywicki zakładał, że te „odgłosy nędzy” wywołają „ciężkie wrażenia” i będą „budzić sumienia ludzkie”⁶. Diagnoza społeczna Krzywickiego pełna była alarmujących stwierdzeń o niedojadaniu, podupadaniu na zdrowiu, wyrodnieniu, a „pomimo nędzy – komentował socjolog – dzieci rodzą się obficie. Rodzą się i umierają”⁷. Szczegółową egzemplifikację upiornej sytuacji przynosiła zawartość tomu. *Pamiętniki bezrobotnych* były omawiane w prasie, np. na początku 1933 r. na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich” ukazał się artykuł Marii Milkiewiczowej *57 dokumentów grozy życia*⁸, podejmujący tę samą retorykę „obozu ludzi głodnych”. Podobnymi kwestiami interesowali się pisarze, choćby Władysław Rymkiewicz w realistycznej prozie *Eksmisja* czy Artur Pręcki w powieści z kluczem *Bełtowski zredukowany*.

Problemy zostały stematyzowane i nazwane – zarówno w artykułach prasowych, jak i w dokumentalistyce zaświadczałej, a także w prozie reportażowej. Musiały być też realnie dostrzegalne, skoro zimą 1932 r. w samej tylko Warszawie orzeczono 3 tys. eksmisji. Reakcja reporterów była szybka: zaczęli odwiedzać schroniska dla bezdomnych, a piśmiennictwo nędzy – tak ten rodzaj tekstów nazwał Bronisław Geremek – stało się rodzajem dziennikarskiego *loci communes*, ustalonym tematem o skonwencjonalizowanych regułach obrazowania.

Za mało mieszkań

W Drugiej Rzeczypospolitej obowiązywała ustawa o ochronie lokatorów uchwalona w kwietniu 1924 r., ale wielokrotnie uzupełniana dodatkowymi rozporządzeniami oraz moratoriami mieszkaniowymi. Jednolity tekst ustawy⁹ z uwzględnieniem 14 zmian ogłosił w maju 1936 r. minister sprawiedliwości Czesław Michałowski na oficjalne wezwanie prezydenta, wyartykułowane przy

⁶ L. Krzywicki, *Przedmowa do „Pamiętników bezrobotnych”*, w: *idem, Wybór pism*, wybór i wstęp H. Hołda-Róźiewicz, Warszawa 1978, s. 602.

⁷ *Ibidem*, s. 603.

⁸ M. Milkiewiczowa, *57 dokumentów grozy życia*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 2, s. 1.

⁹ „Dziennik Ustaw R.P.” 1936, poz. 297.

okazji dekretu o obniżeniu wysokości komornego. Aktywność ustawodawcza związana z prawem lokatorskim zwiększała się wraz z pogarszaniem się ogólnej sytuacji ekonomicznej społeczeństwa, choć już w ustawie o opiece społecznej z 1923 r. narzucono gminom obowiązek zapewnienia opieki bezdomnym¹⁰. Specjalne rozporządzenia chroniące przed szybkimi eksmisjami były reakcją na kryzysowy wzrost bezrobocia i popadanie części społeczeństwa w bezdomność. Istnieje zbieżność dat między wydawaniem aktów prawnych a serią reportaży o sytuacji w przytułkach. Największe zainteresowanie tymi problemami, ujawniające się zarówno w aktywności legislacyjnej, jak i reporterskiej przypadło na 1933 r.

Modyfikacje prawne zmierzające do ochrony bezpośrednio zagrożonych lokatorów, np. przez wprowadzenie magistrackich dotacji na czynsze w wynajmowanych mieszkaniach¹¹, nie mogły jednak zmienić ogólnie złej sytuacji mieszkaniowej. Główny Urząd Statystyczny oszacował liczbę mieszkań w Polsce dwukrotnie, choć przy wykorzystaniu innych metod. Raz dokonano tego w ramach spisu ludności z 1921 r., a drugi raz dekadę później – wówczas wyniki uzyskano metodą statystyczną. Spis z lat 20. mówił o 6 mln i 23 tys. mieszkań (w badaniach pominięto część województwa śląskiego i wileńskiego). W 1931 r. naliczono o 400 tys. mieszkań więcej, przy czym wzrost ten dotyczył głównie wsi, co ma istotne znaczenie, bo domy wiejskie były wykonane zwykle z gorszej jakości materiałów, głównie z drewna, muru pruskiego, gliny lub ziemi i pokryte łatwopalnymi dachami, drewnianymi lub słomianymi. W międzywojennej Polsce takich bieda-domów stała ponad połowa. Mieszkania miejskie były technicznie nowocześniejsze: w głównych miastach – w Warszawie, Łodzi, Lwowie, Poznaniu, Krakowie, Wilnie i Katowicach – przeważały domy murowane lub kamienne (od 69% w Warszawie do 96% w Katowicach).

Wskaźniki pokazujące zaludnienie mieszkań oraz ich stan techniczny nie pozostawiają złudzeń, że rzeczywistość można było poprawić tylko dzięki podwojeniu liczby domów. Wówczas życie mieszkańców Warszawy byłoby porównywalne z warunkami panującymi w analogicznym czasie w Niemczech, Czechach czy Norwegii. Każdy pokój w Warszawie, statystycznie rzecz ujmując, zajmowało nieco więcej niż dwie osoby (2,06), natomiast w Berlinie jedna osoba (1,01), podobnie w Norwegii (1,10) i nieco więcej w Pradze (1,44). Te dane odnoszą się do gęstości zaludnienia w mieszkaniach różnej wielkości.

¹⁰ Szczegółowo o obowiązkach gminy zob. M. Rodak, *Kolonia dla bezdomnych na Żoliborzu 1923–1939*, „Praca Socjalna” 2011, nr 1.

¹¹ *Ibidem*.

Jednak znacznie gorzej wygląda statystyka, kiedy weźmie się pod uwagę wielkość mieszkań. Wówczas okazuje się, że lokale jednopokojowe były zajmowane średnio przez cztery osoby, natomiast na wsi nawet pięć osób przypadało na jedną „izbę”. Czterokrotnie większe zagęszczenie małych mieszkań w porównaniu z większymi tylko potwierdza potoczną wiedzę, że wielodzietne, ubogie rodziny żyły w wyjątkowo złych warunkach. Odzwierciedlają ten stan rzeczy także wysiłki legislacyjne – moratorium mieszkaniowe czy dotacje gminne obejmowały tylko lokatorów ubogich, jedno- i dwupokojowych mieszkań. Jedynie oni mogli korzystać ze stosownych odroczeń spłaty komornego i czasowo unikać eksmisji.

Sporne sprawy między wynajmującymi a właścicielami nieruchomości rozstrzygały sądy grodzkie. Napięcia musiały rosnąć wraz ze zwiększaniem się liczby mieszkańców niezdolnych do płacenia komornego i wraz z wprowadzaniem przepisów ochronnych. Henryk Drzewiecki w prozie *Kwaśniacy* obrazuje te problemy narzekaniami jednego ze swoich bohaterów, właściciela kamienicy przy ul. Kwaśnej: „Jedno szczęście to eksmisje. Ile się człowiek napracuje, natrudzi, nalata do adwokatów, do sądu, nim do tej eksmisji dojdzie. [...] I żeby, moi państwo Brod, dało się od razu wyeksmitować lokatora, który nie płaci. Skąd? Co pół roku rząd nam rzuca kamień pod nogi i zawiesza eksmisje z małych mieszkań [...]. Bezrobotnych nie można eksmitować, ale nie każdy bezrobotny jest bezrobotny z papierami, albo płacić, albo wynosić się”¹². Monolog Rapowicza ujawnia konflikt interesów, a także różnice między prawami bezrobotnych rejestrowanych i tych, którzy nie mieli żadnej ochrony, a było ich niemal drugie tyle.

Za dużo bezrobotnych

W latach 1931–1934 dwukrotnie wzrosła liczba osób poszukujących pracy. W 1929 r. zarejestrowano 185 tys. bezrobotnych, a 5 lat później już 414 tys. Poza statystyką pozostawały osoby, które wcześniej nie były zatrudnione w zakładach pracy, pochodzące głównie z przeludnionej i ubożej wsi. Szacunki co do realnej liczby ludzi pozostających bez zatrudnienia były różne, Maria Milkiewiczowa pisze o pół miliona osób, ale zaznacza, że wraz z rodzinami bez środków do życia pozostaje półtora miliona obywateli. Pewną orientację daje też liczba 800 tys. osób objętych w 1932 r. opieką

¹² H. Drzewiecki, *Kwaśniacy*, Warszawa 1957, s. 16–17.

Funduszu Pomocy Bezrobotnym (później przekształconego w Fundusz Pracy)¹³.

Bezdomność wiązała się z bezrobociem – co do tego reportażysty piszący o przytułkach nie mieli wątpliwości. Lech Pietrzak zaczął relację o schronisku pisaną dla „Tygodnia Robotnika” stwierdzeniem, że „w prasie czytuje się o masowych eksmisjach bezrobotnych, o rodzinach koczujących w bramach, o schroniskach dla bezdomnych – na Anopolu, Żoliborzu, w «Polusie»”¹⁴. Egzystencję bezdomnych opisywano przy pomocy gotowych klisz: eksmisja, bezradne koczowanie na chodnikach, w końcu nędzna egzystencja w przepelnionych przytułkach lub w barakach. Reporterzy szczególnie chętnie przywoływali obraz Anopola, miasteczka wybudowanego z funduszy magistrackich, leżącego po prawej stronie Wisły, poza administracyjną granicą Warszawy. Kolonia przeznaczona dla najuboższych powstała w 1927 r., a jej zabudowę stanowiły chaotycznie dobudowywane drewniane lub murowane domki. Konrad Wrzos, który na początku lat 30. opisywał osiedle, przybliżył jego wielkość, podając, że w 112 domkach, podzielonych na kilkanaście lokali, mieszka 8900 osób, *de facto* razem (por. Wrzos, s. 28). Anopol był miejscem tak znanym i charakterystycznym, że stał się wizualnym symbolem biedy przywoływanym przez wielu reporterów.

Eksmisje stanowiły element miejskiej rzeczywistości. Musiały być widoczne, bo wyrzucanym lokatorom wynoszono meble na ulicę. Jeżeli nie mieli gdzie przenieść swojego dobytku, wówczas po kilku godzinach przyjeżdżał „furgon magistracki”¹⁵ i zabierał eksmitowanych do przytułku. Tak przynajmniej przedstawia to Wanda Melcer, która musiała zaobserwować przesiedlenie do baraków, ponieważ do noclegowni nie można było wnosić własnych sprzętów, z wyjątkiem pościeli.

Wyrzucenie z mieszkania poprzedzała decyzja wydawana przez sąd grodzki. Literackie sprawozdanie z tego typu rozprawy znalazło się w *Eksmisji* Władysława Rymkiewicza. Autor był adwokatem i zapewne temu należy

¹³ K. Wrzos, *Oko w oko z kryzysem. Reportaż z podróży po Polsce*, przedm. K. Koźniewski, Warszawa 1985, s. 24. Dalej w tekście głównym przy cytatach z tego źródła podają jedynie nazwisko autora reportażu i numer strony w nawiasie.

¹⁴ L. Pietrzak, „Polus” obóz koncentracyjny warszawskiej nędzy, „Tydzień Robotnika” 1934, w: *Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych*, wybór J. Dąbrowski, wstęp Z. Mitzner, Warszawa 1962, s. 353. Dalej w tekście głównym przy cytatach z tego źródła podają jedynie nazwisko autora reportażu i numer strony w nawiasie.

¹⁵ W. Melcer, *Nocuję w przytułku*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 37, s. 2. Dalej w tekście głównym przy cytatach z tego źródła podają jedynie nazwisko autorki reportażu i numer strony w nawiasie.

przypisać trafność obrazków z wokandy, które są najmocniejszą stroną tej powieści *minorum gentium* – jak jej wartość trafnie ujął Zygmunt Ziątek¹⁶. Trzy następujące po sobie procesy sądowe stanowią kulminacyjne wątki prozy Rymkiewicza, przy czym ostatnia rozprawa, zakończona orzeczeniem eksmisji, dopełnia obrazu nieszczęść bohatera Pawła Malugi. Doprowadzony do desperacji Maluga zabija swoją rodzinę i siebie.

Rozprawy w *Eksmisji* pokazane są z reportażową referencjalnością. Ujawniają funkcjonowanie sądu: orzekanie jest pospieszne, ktoś, kogo nie stać na adwokata, traci szanse na pozytywne rozstrzygnięcie sprawy, sale sądowe są ponure, źle oświetlone, duszne i zatłoczone. Literacki proces Malugi toczy się zgodnie z realnie obowiązującym prawem i ustawą o ochronie lokatorów. Domagająca się eksmisji właścicielka „drewnianej willi” musi przed sądem udowodnić, że upominała się o spłatę zaległego komornego, co potwierdzają wezwani świadkowie.

Bohater nie ma dobrej alternatywy. Nie może przeprowadzić się z rodziną gdzie indziej, bo i tak zajmuje tylko tanie, mroczne i podmiejskie mieszkanie, wyposażone w podstawowe sprzęty, oświetlane lampą naftową¹⁷, ogrzewane chrustem i szyszkami przynoszonymi przez dzieci z pobliskiego lasu. Gorąca woda na herbatę jest tylko wtedy, gdy wystarcza pieniędzy na paliwo do kuchenki „Prymus”. Tak w istocie wyglądało i funkcjonowało wiele biednych mieszkań.

Dokumentaryzm prozy Rymkiewicza uzupełniają publicystyczne tezy o niesprawiedliwości społecznej, wplecione w dialogi i komentarze narracyjne. Zdesperowany Maluga bezskutecznie poszukuje pracy i co rusz słyszy: „«Kochany Panie!» i znów – «niestety!» «Połowę personelu!» «Ach, cóż to za czasy!» «Kryzys!...» «Żałuję bardzo!»” albo jednoznaczne stwierdzenia: „Przy dzisiejszym kryzysie bardzo trudno coś znaleźć... Wszędzie redukują...”¹⁸

Redukcja – jedno ze słów-kluczy otwierających tamtą rzeczywistość, artykułujące ówczesne lęki.

W tym samym roku co książka Rymkiewicza ukazała się powieść dokumentalna *Bełtowski zredukowany* Artura Pręckiego, nawiązująca do historii Juliusza Błachowskiego, zabójcy żyrdardowskiego dyrektora Gastona Koehlera-Badina. Obie opowiadają o kryzysie gospodarczym, pokazują rozgoryczonych protagonistów zdolnych do najbardziej szaleńczych czynów. Rymkiewicz

¹⁶ Z. Ziątek, *Autentyzm rozpoznai społecznych*, w: *Literatura polska 1918–1975*, t. 2: 1933–1944, red. A. Brodzka, S. Żółkiewski, Warszawa 1993, s. 766.

¹⁷ W. Rymkiewicz, *Eksmisja*, Warszawa 1933, s. 54.

¹⁸ *Ibidem*, s. 147.

i Prędski znaleźli inspiracje w głośnym procesie Blachowskiego, ikonicznej postaci narracji kryzysowych. Prasa przełomu 1932 i 1933 r. kipiała od sprawozdań sądowych, które eksponowały utratę pracy i eksmisję jako tło zbrodni, choć w świetle bardziej wnikliwych raportów taka prosta motywacja nie znajduje potwierdzenia. W rozumieniu Ireny Krzywickiej Blachowski był dość przypadkową postacią w rozgrywającej się publicznie psychodramie, którą swoim desperackim gestem uruchomił. „Koehler był zmorą, koszmarem, kompleksem strachu i upokorzenia – twierdzi Krzywicka w głośnym reportażu sądowym – źródłem zbiorowej psychozy. A Blachowski był jej bezwiednym wyładowaniem, rozwiązaniem, ulgą, był ręką ektoplazmiczną na tym ponurym seansie”¹⁹. Spirytystyczna metafora Krzywickiej oddaje sedno tej historii – frustracja społeczna została ucieleśniona w osobie Juliusza Blachowskiego.

Patrz i przechodź

W takim kontekście społecznym powstawały reportaże z przytułków. Były reakcją na kryzys i realizacją szerszego projektu dokumentowania jego skutków. Równocześnie wydają się przykładem dziennikarskiego schematu, łatwego do powielenia wzoru, łączącego deklaratywną prospołeczność z sensacyjnością.

Bardzo ciekawy z perspektywy rozwoju gatunku jest fakt, że część reportaży ma walor obserwacji uczestniczącej, a dziennikarze używają tzw. strategii „rewizora incognito”²⁰. Posługiwanie się tym modelem dziennikarstwa, polegającym na „sprawdzeniu czegoś na własnej skórze”, jak to określiła Barbara Ehrenreich²¹, było tak często stosowane, że sami mieszkańcy przytułków wiedzieli o „obcych”, odgrywających bezdomność. Dziennikarze już wtedy znali przykłady tego typu pracy reporterskiej, wiedzieli o eksperymentach sufrażystki Nellie Bly, która pod koniec XIX w. zamknęła się w zakładzie psychiatrycznym na Blackwell Island po to, aby zebrać materiały do serii artykułów *Dziesięć dni w domu wariatów* (*Ten Days in a Mad-House*).

Co reportażyści zobaczyli w noclegowniach dla bezdomnych?

Stefania Osińska zaczyna od rzeczowego opisu: „W trzypiętrowym domu na Lesznie pod Nr. 93, odgrodzonym od ulicy wysokim parkanem, mieści się dom noclegowy dla kobiet. [...] Podchodzę do okienka i kładę 15 gr., za

¹⁹ I. Krzywicka, *Sąd idzie*, Warszawa 1935, s. 39.

²⁰ A. Magdoń, *Reporter i jego warsztat*, Kraków 2000, s. 63.

²¹ B. Ehrenreich, *Za grosze pracować i (nie) przeżyć*, tłum. B. Gadomska, Warszawa 2006, s. 6.

które każda bezdomna zdobywa sobie na jedną noc prawo do dachu nad głową w «hotelu nędzy»²². U Wrzosa podobnie: „W 1933 r. w jednym tylko przytułku na Dzikiej, w sławnym «Cyrku», sypia ponad tysiąc osób [...] za 5 gr kupujemy przy małym okienku kartę wstępu. (Miasto dopłaca do takiego noclegu 27,1 gr.)” (Wrzos, s. 294).

W noclegowniach pobierano opłatę, ale jeśli ktoś nie miał pieniędzy to i tak mógł liczyć na schronienie, co zgodnie podkreślają Melcer i Osińska. Informacja o opłatach wskazuje, że artykuły te miały również charakter instruktażowy, w ten sposób rozpowszechniano wiedzę o funkcjonowaniu przytułków wśród osób koczujących w różnych miejscach – w bramach, w slumsach na Żoliborzu albo pod łodziami na brzegach Wisły (jak twierdzi Wrzos, s. 293). Paradoksalnie, do nich również mogły być adresowane te sprawozdania. Wprawdzie trudno zakładać, że bezdomni sami kupowali gazety, ale na pewno zdarzało im się czytać wyrzucone egzemplarze. Przekazywanie starej prasy było na tyle powszechne, że wydawcy walczyli z tą praktyką, zamieszczając perswazyjne ogłoszenia, że nie należy gazet oddawać, bo działa to na niekorzyść wydawcy.

Wróćmy do przytułków. Wiele dowiadujemy się o wyglądzie i stanie wyposażenia budynków. Zainteresowanie odwiedzających skupia się głównie na dwóch miejscach – portierni i salach, ale są też przestrzenie, które reporterzy omijają. Nikt nie opisuje dokładnie toalet, najwyraźniej wstydliwie pomijanych. We wszystkich przytułkach dziennikarze widzą tę samą beznadziejną atmosferę zastoju i niemocy. Namiastka aktywności widoczna była jedynie na ul. Lubelskiej w całodziennym „Polusie”, który był przeznaczony dla rodzin z dziećmi i dlatego panowała tam ożywiona, a nawet – za sprawą dzieci – hałaśliwa atmosfera.

Widok wszędzie jest tak samo ponury: drewniane, pomalowane prycze stoją jedna obok drugiej, ustawione „w kilka rzędów w olbrzymiej sali” (Melcer, s. 2); „wśród najokropniejszych wyziewów leżą na ziemi ludzie ubrani w łachmany” – relacjonuje Wrzos (s. 294) i w następnym akapicie znowu powtarza to spostrzeżenie: „w powietrzu unosił się ciężki zapach wyziewów ludzkich, najpotworniejszej nędzy i najgorszego brudu” (Wrzos, s. 294).

Miarą odczuć jest fizyczny dyskomfort: „stęchłe powietrze [...] nowicjuszy przyprawia o mdłości” (Wrzos, s. 294). Podobnie Melcer odnotowuje „niepojęty zaduch specjalnie przykrego gatunku: była to mieszanina chlorku z kloaką” (Melcer, s. 2) i w końcu Pietrzak dodaje: „Sale nie są ogrzewane [...] panuje taka

²² S. Osińska, *Hotel nędzy*, „Bluszcz” 1933, nr 12, s. 10. Dalej w tekście głównym przy cytatach z tego źródła podaje jedynie nazwisko autorki reportażu i numer strony w nawiasie.

wilgoć, że rozpanoszył się grzyb drzewny” (Pietrzak, s. 354). Trudno o bardziej stereotypowy obraz przytułkowej egzystencji: stłoczenie, zaduch, zimno.

Wrażenie brudu musiało być związane ze stanem samych pensjonariuszy. Ponieważ przedwojenni dokumentaliści nie opisali tego wprost, sięgnijmy więc po bardziej werystyczną relację – etnografa Patricka Declercka, który pracował z kloszardami pół wieku później i w nieporównywalnie bogatszym kraju, we Francji. Pisze tak: „Śmierdzą. Cuchną niespłukiwanym potem, brudnymi nogami, tytoniem, tanim winem. Śmierdzą nienawiścią, zawiścią, pretensjami”²³. Polscy reportażyści sugerowali to samo, ale nie wyartykułowali tego tak dosłownie jak Declerck.

Mnożące się opisy smrodu, odoru i fetoru paradoksalnie przeplatają się z informacjami o panującej czystości. Stanisława Osińska w schronisku kobiecym na Lesznie zauważa, że: „czystość panuje tutaj wzorowa, jak również na salach, na schodach, w ubikacjach i umywalniach” (Osińska, s. 10). Niemal identyczny zapis można znaleźć w reportażu Wandy Melcer: „Na lewo ze schodów są umywalnie, zlewy i klozety. Wszędzie jest porządek i czysto, schody są wyszorowane” (Melcer, s. 2). Opisy dotyczą co prawda innych schronisk, ale można odnieść wrażenie, że reporterka „Wiadomości Literackich” wzorowała się na tekście opublikowanym pół roku wcześniej w „Bluszczu”.

Nasuwa się więc pytanie: jak tę czystość pogodzić z „najgorszym brudem” opisanym przez Wrzosa? Noclegownie były zamykane na dzień i sprzątane, ale stan samych pensjonariuszy musiał być niezbyt przyjemny. W ówczesnych poradnikach higienicznych codzienną kąpiel uznawano za trudno osiągalny ideał nawet w warunkach stabilnej egzystencji²⁴, doradzano w nich np., że włosy „trzeba myć co jakieś 10 dni. Zimą – co trzy tygodnie”²⁵. Nie ma wątpliwości, że realia w świecie bezdomnych znacznie odstawały od oficjalnie postulowanych norm. Pensjonariusze mieli obowiązek brania kąpeli co dwa tygodnie w Domu Izolacyjnym pełniącym funkcję łaźni. Niemniej już sam fakt wprowadzenia zasad higienicznych świadczy o tym, że byli oni poddawani temu, co historycy obyczaju Jacques Le Goff i Nicolas Truong nazywają „społeczną kodyfikacją technik cielesnych”²⁶, kiedy mówią o procesie cywilizowania, zmierzającego

²³ P. Declerck, *Rozbitkowie. Rzecz o paryskich kloszardach*, tłum. A. Głowacka, J. Kaczmarek, posł. W.J. Burszta, Warszawa 2004, s. 11.

²⁴ „Kąpiel całkowita – codzienna – to ideał higieny” – twierdzili redaktorzy poradnika *Higiena życia codziennego*, w: *Kalendarz dla wszystkich na rok 1939*, Warszawa 1938, s. 109.

²⁵ *Ibidem*, s. 109.

²⁶ J. Le Goff, N. Truong, *Historia ciała w średniowieczu*, tłum. I. Kania, Warszawa 2006, s. 17.

„do wyparcia, interioryzacji i prywatyzacji gestów kojarzonych przez ludzi ze zwierzęcością”²⁷. Dokonuje się to m.in. poprzez praktyki higieniczne.

W przytułkach z jednej strony narzucano minimalne wymagania, które służyły ukrywaniu fizjologiczności (choćby uciążliwych zapachów), ale równocześnie panowały tam warunki zbliżone do bionaturalnych. Przekonuje o tym relacja Lecha Pietrzaka, donoszącego, że połogi odbywają się w miejscach ogólnie dostępnych także dla dzieci, co najwyżej symbolicznie rozdzielonych konstrukcjami z deszczulek, prześcieradeł, ubrań i papierów. Inna scena opisana przez Melcer również wskazuje na obyczajowość bionaturalną, gdy pisarka obserwuje swoją iskającą ubrania sąsiadkę: „odciągnęła sobie na piersiach szeroką dzienną koszulę i szukała w niej wszy, bijąc je przy świetle lampy” (Melcer, s. 2). Zresztą wcześniej niż Melcer podobną sytuację zauważył i zrelacjonował A. Matoga-Ferus, dziennikarz „Kurier Warszawski” obserwujący noclegownię przy ul. Jagiellońskiej: „wszedł jakiś zapóźniony lokator. Przed snem robi jeszcze przy wpadającym przez okno świetle latarni wieczorną toaletę. Co chwilę słyhać trzask rozgniatanego między paznokciami robactwa”²⁸.

Naturalizm scen z przytułków wzmacniają animalizacyjne porównania: „komu [...] chłód dokucza, niech korzysta z ciepła własnego ciała albo z ciepła, wyprodukowanego uprzejmie przez sąsiadów, jak w stajni albo w oborze” (Melcer, s. 2). Skojarzenia oparte na animalizacji można mnożyć: „mają twarze łagodnych i głupich zwierząt domowych, utrudzonych w borykaniu się z nienawistnym życiem” (Melcer, s. 2), „stara kobieta [...] gdzieś dotąd myszkowała po drugiej stronie sali” albo po prostu: „wypasione chłopaki” (Melcer, s. 2). Degradująca metaforyzacja, polegająca na zestawianiu egzystencji ludzi z życiem zwierząt staje się sposobem interpretacji. Jest znakiem rozpoznawczym wspólnoty²⁹, podkreśla jej odrębność i obcość, dehumanizującą nędzę, na którą kładła nacisk definicja Hannah Arendt.

Naturalistyczną perspektywę uzupełnia sugestia panującego w noclegowni promiskuityzmu: „ulicznica z krótko obciętymi włosami – pisze Melcer – z cynicznym uśmiechem na ustach, w wyciętej, koronkami obszytej koszuli, tuli do siebie dwie inne dziewczyny, także rozebrane, które naprawdę nie wiadomo czego szukają przy jej piersi” (Melcer, s. 2). Wątek saficzny w prozie Wandy

²⁷ *Ibidem*.

²⁸ A. Matoga-Ferus, *Noc w „gigancie”*, „Kurier Warszawski” 1932, nr 353, s. 9, cyt. za: M. Rodak, *O „Cyrku”...*, s. 86.

²⁹ Termin „znaki rozpoznawcze wspólnoty” zaczerpnęłam z art. *O narodowości kultury* Jerzego Jedlickiego, w: *Przemiany formuły polskości w drugiej połowie XIX wieku*, red. J. Maciejewski, Warszawa 1999, s. 15.

Melcer ma swoją antecedencję. Autorka już w połowie lat 20. w powieści *Józefina*³⁰ pokazała namiętną scenę erotyczną między dwiema bohaterkami. W noclegowni kobiety tulące się do piersi prostytutki nie dbają o „prywatyzację gestów”. Zresztą nikt nie wymaga od nich wstydlivosti, bo obyczajowy rygorystyka przestaje obowiązywać. Pisarka przytacza również zawołanie spełniające rolę pobudki w „Polusie”: „Wstawajcie [...] możecie się dość nakochali?” (Melcer, s. 2). Nie wiadomo, czy realnie zasłyszane, ale wiadomo, że Melcer nie nocowała w tym schronisku. Zdaje się, że większą rolę odegrał tu zamysł literacki pisarki niż realna obserwacja.

Degradacja cielesności, choć jest przede wszystkim konsekwencją panujących warunków, wynika po części również z przekonań i przyzwyczajęń samych pensjonariuszy: „Jak się wykąpię, to zaraz choroba mnie się ima” (Osińska, s. 10) – skarżą się jedna po drugiej rozmówczynie Osińskiej. Pisarze międzywojnia chętnie drwili z wciąż jeszcze panującego strachu przed kąpielą. Antoni Słonimski wspomina guwernantkę, Francuzkę, która zaszywała w zielonym żakiecie swoje oszczędności i nie rozbierała się nigdy z obawy przed złodziejami: „Gdy raz uległa namowom – szydzi autor *Kronik tygodniowych* – i zdecydowała się wykąpać – przypłaciła to życiem. Umarła w kąpielu”³¹.

Uniwersalizacja wykluczenia

Badaczka reportażu międzywojennego Hanna Małgowska podkreśla, że właściwością dokumentalistyki interpretującej jest dialogiczność. Wpisane w relacje z przytułków dialogi pełnią równoległe rolę poznawczą, estetyzującą i oceniającą – dopełniają obraz świata przedstawionego, przełamują monotonię relacji i pokazują społeczną odrębność rezydentów „hotelu nędzy”. Ta ostatnia właściwość – przytułek jako skansen – staje w oczywistej sprzeczności z pokazywaniem bezrobotnych jako przedstawicieli wszystkich zawodów. Autorzy chętnie piszą o nędzarzach rekrutujących się spośród nauczycieli, kelnerów,

³⁰ Melcer użyła w saficznej scenie w powieści *Józefina* modelu opisu charakterystycznego w ówczesnej literaturze dla erotyki heteroseksualnej: „Bluzka zsunęła się jeszcze niżej, obnażając pierś Małgorzaty drobną i okrągłą, jak u małej dziewczynki. Teraz wyciągnęła Józefina rękę i dotknęła lekko, końcem palców tej białej, oślepiającej skóry. Małgorzata zadrzała głęboko i podała się całą naprzód. Ręka jej znalazła się nagle na kolanie Józefiny. Upadły obie na kanapę, odrzucając książkę daleko po dywanie”; W. Melcer, *Józefina*, Lwów 1926 s. 48.

³¹ A. Słonimski, *Kroniki tygodniowe 1932–1935*, wstęp i przyp. R. Habielski, Warszawa 2001, s. 202.

absolwentów (wydziałów humanistycznych), rachmistrzów, mechaników, krawców, co więcej – z nobilitującym doświadczeniem amerykańskim. Takie przybliżenia mają ideologiczną wymowę – oto w czasie kryzysowego wzrostu bezrobocia wszyscy są na skraju bankructwa. Zagrożenie uniwersalizuje się, rozlewa na wszystkie warstwy społeczne, a w przytaczanych przez dziennikarzy porównaniach przyrost liczby mieszkańców „Polusa” jest szybszy niż rozwój Gdyni, optymistycznego symbolu unowocześnienia i rozwoju³². Taka perspektywa obrazuje z góry przyjętą tezę o pogłębiającym się procesie ubożenia społeczeństwa, a to musi niepokoić wyobraźnię czytelnika, straszonego ponurymi obrazami ubóstwa. Z drugiej strony – sugestii, że kryzys dotyka wszystkich bez wyjątku, przeczą knajackie dialogi, pokazujące demoralizację czy życiową niezborność rozmówców – dające wrażenie socjalnej *splendid isolation*, doskonałej izolacji opisywanego świata. W ten paradoks przedstawienia zabrnęli wszyscy dokumentaliści z wyjątkiem Pietrzaka, który uniknął go, ponieważ w ogóle zrezygnował z przytaczania rozmów.

Dialogi ujawniają przy okazji leksykalną pojemność ówczesnej nieoficjalnej polszczyzny: „– Jak tylko mój chłopiec wyjdzie z «mamra» gwizdnę na ten cały bałagan” (Osińska, s. 11) albo „– Pewnie coś buchnęła i boi się, że policja będzie jej szukać, więc przyszła tutaj. Ale «głina» mądra! Wszędzie ją znajdzie!” (Osińska, s. 11). Czytelniczkom „Bluszczu” redakcja w przypisie wyjaśniała znaczenie słów „mamr” i „głina”. Ostatecznie nad zamierzoną perspektywą społecznej uniwersalności górują stereotypowe wizerunki „ulicznicy”, złodzieja czy nieroba. Dołączają do nich także intrygujący morfiniści i kokainiści lub po prostu pijackowie. Ich portrety wypełniają międzywojenne piśmiennictwo przytułkowe. To oni przyciągają uwagę wyglądem, zachowaniem albo barwnymi, niekontrolowanymi wypowiedziami. Postać malowniczego żebraka zdominowała biedaka pogrążonego w apatii. Zaangażowanie społeczne autorów przegrało z dbałością o atrakcyjność literacką, co tylko potwierdza zauważalną estetyzację, stojącą w sprzeczności z faktograficzną precyzją. Impresywna przedstawieniowość, wyrażająca się w prezentowaniu bezdomnych jako zabawnych nędzarzy, wzorowanych na karnawałowej topice świata na opak, pokazuje, że reporterzy dostosowali się do przyzwyczajęń publiczności wykształconej na określonych wzorach literackich i próbowali je powielić.

Cytowane dialogi pokazują schematy myślenia i przypominają popularne wówczas przekleństwa. Sięgnijmy po przykład: „Psia krew, a nie życie! – woła

³² Ten mit był też podważany, m.in. w reportażu Zbigniewa Uniłowskiego *Gdynia na co dzień*, „Wiadomości Literackie” 1937, nr 27.

ochrypłym, pijackim głosem. – Łeb chyba komu rozwałę, albo zadam sobie śmierć” (Osińska, s. 10).

W czasie Wielkiego Kryzysu wiele mówiło się o samobójstwach popełnianych z powodu bankructw. Odgrazająca się kobieta odwołuje się do takich desperackich sytuacji, znanych, bo opisywanych w prasie. Mirosława Parzyńska w studium o przytułkach kpi z sensacyjnego doniesienia gazetowego: „stały mieszkańiec «Cyrku» popełniał 125 razy nieudane samobójstwo”³³.

Groźby samobójcze stały się pewnego rodzaju kodem używanym w oficjalnej komunikacji społecznej. Brzmiały w ten sposób: „Ciągle myśli o samobójstwie powstrzymuje nadzieja, że wkrótce otrzymam jakieś zajęcie, przez co będę mogła wychować dziecko i wybrnąć z dna niedostatku”³⁴ lub krócej: „już wprost jestem gotowa odebrać sobie życie”³⁵. Cytaty pochodzą z podań o pracę kierowanych do dyrektora Zakładów Żyrardowskich i dobitnie świadczą o istniejącej konwencji, akceptowalnej w listach intencyjnych. Gdyby były odczytywane dosłownie, wówczas musiałyby stać się niezawodnym dowodem na to, że autor prośby nie powinien otrzymać pracy, o którą się ubiega.

Rozpowszechniany w informacjach prasowych i publicystyce liczman utrwalił przekonanie, że kryzys doprowadził w latach 30. do wzrostu liczby samobójstw. Jednak nie da się tego obiektywnie potwierdzić. Statystyki odnotowanych przez policję aktów samobójczych nie wykazują znaczących odchyień. Co prawda w 1932 r. liczba desperatów, którzy targnęli się na życie przekroczyła 4,5 tys., a było to o kilkaset osób więcej niż w innych latach, ale wciąż ta liczba nie uzasadnia łatwej tezy o radykalnym wzroście samobójstw popełnianych z powodów ekonomicznych.

Pokazuje to także zestawienie statystyk z kwietnia 1927 r., gdy śmiercią samobójczą w Warszawie zginęło w jednym miesiącu 29 osób³⁶, oraz rocznych statystyk policyjnych z 1936 r., w których odnotowano 232 przypadki samobójstw. Liczby te, po uwspólnieniu czasowym, są porównywalne. Wrażenie wzrostu liczby samobójstw mogło wynikać z faktu, że w tym samym czasie w Warszawie odnotowano aż 826 prób samobójczych. Większość z nich okazała się nieskuteczna, co w pewnym stopniu świadczy o manifestacyjnym charakterze tych czynów. Wśród kobiet jedna czwarta aktów samobójczych

³³ M. Parzyńska, *Na drodze zreformowania domów noclegowych w stolicy*, „Opiekun Społeczny” 1938, nr 1 (16), s. 4.

³⁴ J. Rawicz, *Generał Zagórski zaginął. Z tajemnic lat międzywojennych*, Warszawa 1963, s. 190.

³⁵ *Ibidem*, s. 190.

³⁶ *Miesięcznik Statystyczny*, „Kronika Warszawy” 1927, nr 5, s. 4.

kończyła się śmiertelnie, a w przypadku mężczyzn proporcja była wyższa, jeden na trzech samobójców realnie odbierał sobie życie.

Bohaterka Osińskiej, mówiąca o alternatywie: rozbój albo samobójstwo, demonstruje swoją bezradność i odwołuje się do istniejącego stereotypu. Złe warunki prowokują pytanie o sens życia w nędzy. Zadają je nie tylko zdesperowani pensjonariusze, ale także dziennikarze, choć w formie figury retorycznej: „Co lepsze: «Cyrk» czy cmentarz?...” – zastanawia się Wrzos (s. 301) przy okazji wskazania topograficznego szczegółu, że schronisko przy ul. Dzikiej graniczy z cmentarzem. Co prawda reporter „Ikaca” nie interesował się kodami kultury tylko ekonomią, ale miał dobrą intuicję i był spostrzegawczy. Odnotowane przycmentarne sąsiedztwo ma swoją antropologiczną wymowę, to przestrzeń nacechowana i izolowana. Literackie opisy „ul. Cmentarnej”, w jakimkolwiek mieście byłaby położona, zawsze zapowiadają miejsca tłoczenia się marginesu i odmieńców³⁷.

Zrozumieć „kwestię socjalną”

Dokumentaliści przytułków unikają moralizowania, nie rozwodzą się nad alkoholizmem bezdomnych, nawet jeśli zwracają uwagę na roznoszący się zapach alkoholu. Zależność między uzależnieniem a ubóstwem nie była wtedy wcale jednoznaczna. Ankiety przeprowadzane w Warszawie na przełomie 1936 i 1937 r. przez pracowników socjalnych i opublikowane w miesięczniku „Opiekun Społeczny” pokazują, że wśród 600 osób stale przybywających w przytułkach było 85 nałogowych alkoholików. Niewiele mniej badanych cierpiało na gruźlicę – aż 54 osoby. W każdym razie reportażyści nie włączyli w relacje z przytułków kampanii antyalkoholowych, choć stawały się one ważnym elementem równoległych debat i badań socjologicznych – alkoholizmowi poświęcono osobny, tematyczny numer „Opiekuna Społecznego”, a Antoni Słonimski, wykazujący zwykle umiarkowane zainteresowanie sprawami społecznymi, w *Kronikach tygodniowych* ironizował, że zamiast rozpowszechnionych w latach 30. reklam tytoniu i alkoholu lepszy byłby slogan: „Zamiast butelki wódki kup bilet od teatru – zabawa mniejsza, ale zdrowsza”³⁸.

Rezygnacja z dydaktyzmu jest rodzajem interpretacji. Reportażyści nie przezucają odpowiedzialności na nędzarzy. Wszyscy przyjmują punkt widzenia

³⁷ Przy ul. Cmentarnej usytuowany jest także opresyjny dom w powieści Wojciecha Kuczoka *Gnój*.

³⁸ A. Słonimski, *Kroniki tygodniowe 1927–1931*, przedm. R. Loth, Warszawa 2001, s. 334.

zgodny z panującą świadomością społeczną, że rozszerzanie się ubóstwa jest wynikiem bezrobocia i nie ma związku z indywidualnymi wyborami czy zaniedbaniami. Dlatego z alternatywy między sprawozdawczością a dydaktyzmem wybierają sprawozdawczość. Ta druga perspektywa byłaby uzasadniona, gdyby istniała realna szansa odmiany egzystencji biedoty. O tym, że jej nie było przekonuje artykuł Mirosławy Parzyńskiej o pracy ośrodków opieki przyzakładowej powołanych w połowie lat 30., co uważano za ogromny postęp w tworzeniu nowoczesnej służby socjalnej. Parzyńska z entuzjazmem opisuje efekty działalności ośrodków, polegające na przeprowadzaniu „selekcji wśród mieszkańców domów noclegowych, ażeby uniemożliwić pobyt osobom, które nie mają do niego prawa”³⁹. Wbrew pozorom to stanowcze zdanie nie niesie za sobą niehumanitarnych sposobów postępowania z podopiecznymi schronisk. Praca opiekunów polegała głównie na podejmowaniu decyzji o przeniesieniu bezdomnego z magistrackiej noclegowni do całodziennego przytułku – właściwszego ośrodka pomocy społecznej. Osoby stare i niedołążne, które nie miały szans na życiową samodzielność, umieszczano w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności lub w domu sióstr albertynek w Wołominie.

Wraz z powołaniem punktów opieki przyzakładowej zapoczątkowana została forma zindywidualizowanej pomocy, co w opinii Parzyńskiej przyniosło nieznaczną, ale jednak poprawę bytu podopiecznych. I chociaż możliwości ośrodków były skromne, i raczej manifestowały świadomość problemów niż je rozwiązywały, to w istocie były pierwszą próbą rozwiązań systemowych. Samo powstanie struktur organizujących specjalistyczną opiekę w przytułkach można uznać za efekt budzenia się świadomości społecznej. Wydaje się, że jednym z impulsów tego dobroczynnego zainteresowania były teksty dziennikarskie. Reporterzy pisali o powiększaniu się rozmiarów nędzy, oceniali, że instytucje pomocowe będą musiały się rozwijać i powiększać, a jako argument przytaczali dane świadczące o rosnącej liczbie osób szukających schronienia w noclegowniach. „Warszawa posiada 11 schronisk zamieszkiwanych przez 22 tysiące osób – alarmował Konrad Wrzos. – W 1929 r. w schroniskach tych gnieździło się 10 371 osób [...], w 1933 r. – 22 000” (Wrzos, s. 293).

Dokumentaliści rzadko wprost deklarowali swoje poglądy społeczne i polityczne. Żadnemu z autorów nie można przypisać „postawy świadomego ideologa”⁴⁰, choć najbardziej bliski jest jej Pietrzak w demaskatorskim

³⁹ M. Parzyńska, *op. cit.*, s. 7.

⁴⁰ H.M. Małgowska, *Gatunki reportażowo-dziennikarskie okresu dwudziestolecia (Próba typologii)*, w: *Z teorii i historii literatury. Prace poświęcone V międzynarodowemu kongresowi slawistów w Sofii*, red. K. Budzyk, Wrocław 1963, s. 195.

reportażu opublikowanym w „Tygodniku Robotnika”, który krytycznie komentuje metody pracy zakładów opiekuńczych. Pietrzak portretuje byłego pracownika kancelarii w „Polusie”, prowadzącego sklep na terenie schroniska i równocześnie rządzącego systemem wydawania bonów na żywność. Czarny charakter, „p. Orłowski”, łączy w sobie rolę szarej eminencji i gangstera. I nie jest jedynym negatywnym bohaterem Pietrzaka. Reporter także zakonnicom zarzuca, że „prowadzą wyrafinowaną robotę” (Pietrzak, s. 355), a przykładem ich manipulacji są zasady rozdzielania ubrań, dzięki którym siostry-opiekunki sprawują kontrolę i wywierają presję na podopiecznych. Dziennikarz krytykuje również stosowane metody perswazyjne: nauczanie pokory i bierności, utwierdzające wykluczonych w autodestrukcyjnej wegetacji. Można przypuszczać, że dla zakonnic przykładem godnym naśladowania było hagiograficzne życie ascetów rezygnujących z wygód doczesności. Wydaje się jednak, że propagowanie przez zakonnice „cnoty ubóstwa” było rodzajem reakcji na zastaną rzeczywistość, a nie jej kreowaniem czy postulowaniem.

Ten model myślenia istniał zresztą w kulturze europejskiej jeszcze przed chrześcijaństwem. Bronisław Geremek w *Świecie „opery żebraczej”* wskazuje antyczne źródła etosu żebraka i włóczęgi. Stwierdza, że co najmniej od Arystofanesa w antycznej komedii greckiej obecny był topos pozwalający „żebraka traktować w kategoriach fabuły mitologicznej, w której bogactwo i nędza występują nie tylko jako przeciwstawienie, lecz także w formie osobliwego zespolenia: bogactwo jako nędza i nędza jako bogactwo, bogacz jako żebrak i żebrak jako bogacz. Strukturę tę – kontynuuje Geremek – odczytać zresztą można w chrześcijańskim ethosie ubóstwa, chociaż zbieżność ta nie ma charakteru filiacyjnego”⁴¹. Akceptacja postawy pokory, uzasadniana interpretacją odwrócenia losu, nie należy wyłącznie do tradycji chrześcijańskiej, choć niewątpliwie zakonnice miały na względzie jedynie religijne odniesienie, co wytyka im Pietrzak.

Nieszablonowy i krytyczny punkt widzenia dziennikarz „Tygodnika Robotnika” ujawnia także wtedy, gdy deklaruje przychyłność dla napiętnowanych w dwudziestoleciu międzywojennym żebraków i włóczęgów. O ich sytuacji wiele mówi komunikat zamieszczony w kwietniowym numerze „Opiekuna Społecznego” z 1937 r.: „Od trzech lat miasto prowadzi walkę z żebractwem i włóczęgiem na terenie stolicy. Żebracy i włóczęgi zatrzymani przez policję kierowani są do Domu Etapowego przy ul. Przebieg 3, gdzie pozostają do czasu rozprawy sądowej”⁴². Redaktorzy tej notatki precyzyjnie informują,

⁴¹ B. Geremek, *Świat „opery żebraczej”. Obraz włóczęgów i nędzarzy w literaturach europejskich XV–XVII wieku*, Warszawa 1989, s. 15.

⁴² [Komunikat], „Opiekun Społeczny” 1937, nr 7, s. 27.

jak zakończyły się sprawy 92 osób zatrzymanych w jednym tylko miesiącu. W realny sposób ukarano 20 włóczęgów, których skierowano do leżących poza miastem domów pracy przymusowej. Resztę odesłano do przytułków dla starców. Łagodny charakter orzeczeń sądowych nie zmienia faktu inkryminowania ludzi krążących po ulicach, szczególnie tych domagających się jałmużny.

Znana jest też inna szczegółowa statystyka aresztowań za włóczęgostwo. Podaje ją Edward Rosset w analizie przestępstw odnotowanych w Łodzi w latach 1922–1924. W tym czasie aresztowano w mieście 1472 włóczęgów⁴³. W statystykach Głównego Urzędu Statystycznego kary orzekane z tego powodu są włączone w ogólne przestępstwa „Przeciw porządkowi publicznemu” lub kwalifikowane jako „Inne przeciwko życiu i zdrowiu”. Postępowanie z ludźmi żebrzącymi i włóczącymi się wynikało z przekonania, że są niebezpieczni, ponieważ roznoszą epidemie. Taki argument był głównym uzasadnieniem stosowanych rygorów, akceptowanych także przez osoby zaangażowane w pracę służb socjalnych.

W kodeksie karnym obowiązującym od 1932 r. nie było jednoznacznego artykułu uznającego żebranie za przestępstwo. Podstawą prawną zatrzymań był art. 217 stanowiący, że: „Kto sprowadza niebezpieczeństwo powszechne dla życia lub zdrowia ludzkiego albo w znacznych rozmiarach dla mienia: a) przez uszkodzenie lub nadużycie urządzeń użyteczności publicznej, jako to: urządzeń dostarczających wody, światła, ciepła lub energii, urządzeń ochronnych w kopalniach lub fabrykach, albo b) przez rozszerzanie udaremnianie tłumienia zarazy ludzkiej, zwierzęcej lub roślinnej [...] podlega karze więzienia”⁴⁴. Równocześnie w rozdziale zawierającym ten artykuł znalazła się klauzula łagodząca „w przypadkach określonych w art. 215–219 sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary lub od kary uwolnić, jeżeli sprawca własnym działaniem w całości lub w części odwrócił grożące niebezpieczeństwo”⁴⁵.

Pietrzak najwyraźniej nie podzielał obawy przed zagrożeniem epidemiologicznym powodowanym przez włóczęgów. Pragmatycznie twierdził, że „w istocie żebractwo jest ostatecznym wyjściem z rozpaczliwej sytuacji długiego bezrobocia” (Pietrzak, s. 355). W każdym razie reportaż „*Polus*” obóz koncentracyjny warszawskiej nędzy ma nie tylko walory przedstawieniowe, ale także proponuje subwersywny punkt widzenia, co podnosi wartość tego zapisu, szczególnie w kontekście dominacji schematów widocznych w innych tekstach.

⁴³ E. Rosset, *Z badań nad przestępczością kobiet*, „Bluszcz” 1935, nr 22, s. 570.

⁴⁴ Kodeks karny. Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r., „Dziennik Ustaw” 1932, nr 60.

⁴⁵ *Ibidem*.

Wysiłki dokumentalistów międzywojennych, czasem zupełnie realne, jak choćby spędzanie nocy w schroniskach i spanie na gołych pryczach, dały konkretny rezultat. Dzięki reportażom możemy podglądać jakiś skrawek ówczesnej rzeczywistości i poznać sposoby rozumienia tamtego świata przez dziennikarzy. Ich punkty widzenia dają się porównać z pracami innych autorów, którzy łączyli pracę socjalną z pisaniem. Dokumenty te pozostają bezcennym źródłem informacji o życiu ludzi, którzy znaleźli się w biedzie zbliżającej ich egzystencję do bionaturalnego trwania. Reportażystyka ujawnia konkrety tego mizernego losu, ale również postawę samych dziennikarzy wobec ubóstwa i degradacji socjalnej. Ustalenia Bronisława Geremka wskazują, że do wzorów piśmiennictwa nędzy pisarze sięgają wtedy, gdy chcą przedstawić problemy własnej epoki, a zainteresowanie literaturą żebraczą wzrasta zwłaszcza w okresach pauperyzacji społeczeństwa. Ta zależność widoczna jest także w reportażu międzywojennym. Powiększanie się obszarów ubóstwa i dziennikarskie teksty o przytułkach są ściśle ze sobą związane.